

NOWOŚĆ
2022
RIZZOLI
I ISLES

TESS GERRITSEN

NAJBARDZIEJ ZNANA NA ŚWIECIE
AUTORKA KRYMINAŁÓW MEDYCZNYCH

WYSŁUCHAJ MNIE



Wielki powrót duetu śledczego
Jane Rizzoli i Maura Isles!

ALBATROS

Tytuł oryginału:
LISTEN TO ME

Copyright © Tess Gerritsen 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka

Zdjęcie na okładce: © Andrey Armyagov/Shutterstock

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział pierwszy

AMY

Powinnam była założyć botki, pomyślała, wychodząc z Biblioteki Snella i widząc świeżą warstwę zmieszanego z błotem śniegu pokrywającego kampus. Kiedy rano szła na uczelnię, kolejny już wiosenny dzień z przyjemną temperaturą około dziesięciu stopni pozwalał jej wierzyć, że nastał wreszcie koniec zimy, włożyła więc džinsy, bluzę z kapturem i nowe różowe buty z delikatnej skóry, na płaskich obcasach. Ale podczas gdy ona cały dzień pracowała w bibliotece na laptopie, na zewnątrz powróciła sroga zima. Teraz zrobiło się ciemno, a przy szalejącym na dziedzińcu przenikliwym wietrze chodnik miał się wkrótce zamienić w lodowisko.

Westchnęła ciężko, zapięła bluzę i założyła na ramiona ciężki plecak z książkami i laptopem. Nie ma rady. Trzeba iść. Zeszła ostrożnie po schodach biblioteki i wylądowała po kostki w błocie. Czując, jak pieką ją przemoczone stopy, brnęła alejką między budynkami Haydn Hall i Blackman Auditorium. No cóż, zmarnowała nowe buty. Co za głupota! Pokarało ją, że nie sprawdziła rano prognozy pogody. Że zapomniała, że marzec w Bostonie może złamać dziewczynie serce.

Gdy dotarła do Eli Hall, nagle przystanęła i odwróciła się. Czyżby słyszała za sobą czyjeś kroki? Przez chwilę wpatrywała się w alejkę między dwoma budynkami, ale zobaczyła jedynie puste przejście lśniące w świetle latarni. Kampus opustoszał z powodu ciemności i złej pogody i nie słyszała już żadnych kroków, tylko bębnienie deszczu ze śniegiem i odległy szum samochodów jadących po Huntington Avenue.

Otuliła się szczelniej bluzą i ruszyła dalej.

Dziedziniec kampusu pokrywała śliska, lśniąca skorupa lodu. Fatalnie niedopasowane do pogody buty zapadały się z chrzęstem w zamarzające kałuże, opryskując dzinsy lodowatą wodą. Nie czuła już palców u nóg. Wszystkiemu winien był profesor Harthoorn. To przez niego spędziła cały dzień w bibliotece i nie dotarła jeszcze do domu, by zjeść kolację z rodzicami. Czuła, że nieuchronnie odmrozi sobie teraz palce u stóp, tylko dlatego, że w jej pracy dyplomowej – trzydziestodwustronicowym tekście, nad którym pracowała od miesięcy – widać było jego zdaniem „brak kompetencji”. Była, jak twierdził, „niewyczerpująca”, ponieważ nie uwzględniła kluczowego wydarzenia w życiu Artemisii Gentileschi, życiowej traumy, która przepoila jej malarstwo tak potężną siłą i ekspresją – tego, że została zgwałcona.

Jakby kobiety były bezkształtnymi bryłami gliny, które muszą zostać zgniecione i sponiewierane, by stały się wartościowe. Jakby Gentileschi musiała paść ofiarą staromodnej napaści seksualnej, by zostać artystką.

Idąc przez dziedziniec i rozchlapując breję, czuła coraz większą złość na uwagi Harthoorna. Co taki zasuszony starzec jak on mógł wiedzieć o kobietach i wszystkich dokuczliwych

i irytujących problemach, które muszą znosić? O tych pomocnych radach udzielanych im przez mężczyzn tonem głosu, który mówi: „Ja wiem lepiej!”?

Dotarła do przejścia dla pieszych i stanęła, bo zapaliło się akurat czerwone światło. Oczywiście, że musiało być czerwone. Nic jej się dzisiaj nie udawało. Samochody przejeżdżały obok, rozchlapując wodę. Śnieg z deszczem bębnił o jej plecak. Zastanawiała się, czy nie zmoknie jej laptop i czy nie zmarnuje w ten sposób całej popołudniowej pracy. Tak, to byłoby idealne zwieńczenie tego dnia. Zasłużone, bo nie sprawdziła prognozy pogody. Nie zabrała parasola. Włożyła te idiotyczne buty.

Czerwone światło nadal się paliło. Czyżby się zepsuło? Może powinna je zignorować i przebiec przez ulicę?

Była tak skoncentrowana na sygnalizacji, że nie zauważyła stojącego za nią mężczyzny. Nagle zwrócił czymś jej uwagę. Może usłyszała szelest jego nylonowej kurtki albo poczuła zapach alkoholu w jego oddechu. Natychmiast uświadomiła sobie jego obecność i odwróciła się, by na niego spojrzeć.

Mężczyzna miał podbródek osłonięty szalikiem i czapkę naciągniętą aż na brwi. Był tak okutany z powodu zimna, że widziała właściwie tylko jego oczy. Nie unikał jej wzroku; spojrzał jej prosto w oczy tak przenikliwie, że poczuła się zniewolona, jakby zgłębiał jej największe tajemnice. Nie zbliżył się do niej, ale to spojrzenie wystarczyło, by poczuła się nieswojo.

Zerknęła na drugą stronę Huntington Avenue, na znajdujące się tam lokale. Meksykańska knajpka była otwarta, jasno oświetlona i wewnątrz widziała kilku klientów. Bezpieczne miejsce; w razie potrzeby mogła zwrócić się tam do kogoś o

pomoc. Mogła tam wpaść, żeby się rozgrzać, a potem wezwać ubera, żeby zabrał ją do domu.

Światło w końcu zmieniło się na zielone. Zeszła zbyt szybko z krawężnika i podeszwa jej skórzanego buta poślizgnęła się na lodowatej nawierzchni. Machając rękami, starała się utrzymać równowagę, ale plecak pociągnął ją do ziemi i wylądowała na tyłku w brei. Przemoczona i wstrząśnięta, próbowała się podźwignąć.

Nie zauważyła reflektorów pędzącego samochodu.

Rozdział drugi

ANGELA

Dwa miesiące później

Jeśli coś zauważysz, zgłoś to. Wszyscy słyszeliśmy tę radę tyle razy, że ilekroć widzimy jakąś podejrzaną paczkę w miejscu, w którym nie powinna się znajdować, albo spostrzegamy, że w okolicy kręci się ktoś obcy, natychmiast zwracamy na to uwagę. Przynajmniej ja, zwłaszcza że moja córka Jane jest policjantką, a mój partner Vince emerytowanym policjantem. Opowiadali koszmarnie historie, więc możecie być pewni, że jeśli tylko coś zauważę, nie będę milczeć. Obserwowanie tego, co dzieje się w sąsiedztwie, jest moją drugą naturą.

Mieszkam w miasteczku Revere, które – ściśle mówiąc – nie należy do Bostonu, jest raczej jego uboższym kuzynem w północnej części aglomeracji. Po obu stronach mojej ulicy stoją stłoczone skromne jednorodzinne domki. Frank (który wkrótce będzie moim byłym mężem) nazywał je „domami na start”, gdy wprowadziliśmy się tutaj czterdzieści lat temu, tyle że potem nie przenieśliśmy się do większego. Podobnie jak Agnes Kaminsky, która nadal mieszka obok, lub

Glen Druckmeyer, który zmarł w domu naprzeciwko, więc zamieszkanie tutaj raczej nie było dla niego dobrym startem. Z biegiem lat widywałam rodziny, które wprowadzały się, a potem wyprowadzały. Dom po mojej prawej jest znów pusty i na sprzedaż; czeka na następną rodzinę, która go zajmie. Na lewo ode mnie mieszka Agnes. Była moją najlepszą przyjaciółką, dopóki nie zaczęłam spotykać się z Vince'em Korsakiem; oburzyło ją to, bo nie jestem jeszcze rozwiedziona, więc uznała mnie za rozpustnicę. Mimo że to Frank zostawił mnie dla innej kobiety. Blondynki. Tak naprawdę Agnes miała do mnie pretensje o to, że „świetnie się bawię” po odejściu męża. Że „cieszę się” z pojawienia się w moim życiu nowego mężczyzny i całuję się z nim na podwórku. A co jej zdaniem powinnam robić, gdy porzucił mnie mąż? Włożyć żałobną suknię i skrzyżować nogi, by mi tam całkiem zarosło? Prawie już ze sobą nie rozmawiamy, ale nie musimy. Dobrze wiem, czym zajmuje się Agnes. Tym co zawsze: pali swoje virginia slims, ogląda kablówkę i przygotowuje warzywa.

Ale nie mnie ją oceniać.

Po drugiej stronie ulicy na rogu stoi niebieski dom Larry'ego i Lorelei Leopoldów, którzy mieszkają tu od jakichś dwudziestu lat. Larry uczy angielskiego w miejscowym liceum i choć nie mogę powiedzieć, że jesteśmy blisko, gramy w każdy czwartkowy wieczór w scrabble'a, znam więc dobrze zakres jego słownictwa. Dom obok Leopoldów, w którym zmarł Glen Druckmeyer, jest zwykle wynajmowany. A w następnym, dokładnie naprzeciwko mnie, mieszka Jonas, sześćdziesięciodwuletni kawaler, dawny komandos z Navy SEALs; wprowadził się sześć lat temu. Lorelei zaczęła go

ostatnio zapraszać do mnie na scrabble'a, o czym właściwie nie powinna sama decydować, ale okazał się doskonałym nabytkiem. Przynosi zawsze butelkę caberneta Ecco Domani, ma bogate słownictwo i nie próbuje przemycać niedozwolonych obcych wyrazów. Scrabble to w końcu amerykańska gra. Muszę przyznać, że Jonas jest przystojny. Niestety, wie o tym i lubi kosić trawnik przed domem bez koszuli, wyprężając tors i napinając mięśnie. Oczywiście nie mogę się oprzeć pokusie przyglądania się mu, a on zdaje sobie z tego sprawę. Gdy widzi mnie w oknie, macha w moją stronę, więc Agnes Kaminsky uważa, że coś nas łączy, co nie jest prawdą. Przyjaźnię się po prostu ze wszystkimi sąsiadami i jeśli wprowadzają się na naszą ulicę nowi lokatorzy, zawsze zjawiam się pierwsza u ich drzwi, z uśmiechem i chlebem z cukinią. Ludzie to doceniają. Zapraszają mnie do swoich domów, przedstawiają dzieci, mówią, skąd pochodzą i czym się zajmują. Proszą, żebym poleciła im hydraulika albo dentystę. Wymieniamy się telefonami i obiecujemy, że wkrótce się spotkamy. Zawsze tak było ze wszystkimi sąsiadami.

Dopóki nie zjawili się Greenowie.

Wynajmują żółty dom pod numerem 2533, ten, w którym zmarł Glen Druckmeyer. Stał pusty przez rok i cieszę się, że ktoś w końcu go zajmuje. Niedobrze jest, jeśli domy są zbyt długo niezamieszkane – to świadczy o nieatrakcyjności całej ulicy.

Kiedy widzę, że podjeżdża wóz przeprowadzkowy z wypożyczalni U-Haul z rzeczami Greenów, wyciągam od razu z zamrażarki bochenek mojego słynnego chleba z cukinią. Gdy się rozmraża, stoję na ganku, próbując rzucić

okiem na nowych sąsiadów. Widzę najpierw mężczyznę, który wysiada zza kierownicy: to wysoki, muskularny blondyn. Nie uśmiecha się. To pierwszy szczegół, który mnie uderza. Czy nie powinienes się uśmiechać, kiedy docierasz do swojego nowego domu? On tymczasem obserwuje chłodno okolicę, obracając głowę i kryjąc oczy za okularami lustrzankami.

Macham doniego na powitanie, a lenie odrazu odpowiada. Przez chwilę mi się przygląda. W końcu mechanicznie unosi rękę, jakby chip w jego skomputeryzowanym umyśle przeanalizował sytuację i uznał, że należy odwzajemnić pozdrowienie.

No cóż, myślę, może jego żona okaże się przyjaźniejsza.

Wysiada z furgonetki od strony pasażera. Ubrana w dżinsy smukła platynowa blondynka po trzydziestce. Ona również rozgląda się po ulicy, ale strzela oczami na boki jak wiewiórka. Macham do niej i odpowiada mi zdawkowo.

Nie potrzebuję dodatkowej zachęty. Przechodzę przez ulicę i mówię:

– Witam jako pierwsza nowych sąsiadów!

– Miło panią poznać – odpowiada. Zerka na męża, jakby czekała na jego pozwolenie, czy może powiedzieć coś więcej. Wyczuwam między nimi jakieś napięcie. Najwyraźniej nie są zgodną parą. Przypominam sobie natychmiast, ile rzeczy może nie wyjść w małżeństwie. Coś o tym wiem.

– Jestem Angela Rizzoli – przedstawiam się. – A państwo?

– Ja... hm... mam na imię Carrie. A to Matt – duka kobieta, jakby musiała się zastanowić nad każdym słowem.

– Mieszkam przy tej ulicy od czterdziestu lat, więc jeśli potrzebują państwo jakichś informacji, wiecie, kogo pytać.

– Proszę opowiedzieć nam coś o sąsiadach – odzywa się Matt. Spogląda na numer 2535, niebieski dom obok tego, w którym mają zamieszkać. – Jacy oni są?

– Och, to państwo Leopoldowie. Larry i Lorelei. Larry uczy angielskiego w państwowym liceum, a Lorelei jest gospodynią domową. Widzi pan, jak ładnie utrzymują podwórko? Larry dba o nie, nigdy nie pozwala, żeby w ogrodzie pojawiły się chwasty. Nie mają dzieci, więc są miłymi, spokojnymi sąsiadami. Z drugiej strony mieszka Jonas. To emerytowany komandos i... mój Boże... ma o czym opowiadać. A dom naprzeciwko, tuż obok mojego, zajmuje Agnes Kaminsky. Jej mąż zmarł przed laty i pozostała samotna. Chyba jej z tym dobrze. Byłyśmy przyjaciółkami, dopóki mój mąż... – Uświadamiam sobie, że za dużo mówię, i milknę. Nie muszą wiedzieć, o co posprzeczałam się z Agnes. Z pewnością usłyszą o tym od niej. – Mają państwo dzieci? – pytam.

To proste pytanie, lecz Carrie spogląda znów na męża, jakby potrzebowała jego zgody na odpowiedź.

– Nie – rzuca w końcu. – Jeszcze nie.

– Więc nie potrzebujecie opiekunki do dziecka. Zresztą coraz trudniej je znaleźć. – Zwracam się do Carrie: – Rozmraża mi się w kuchni bochenek pysznego chleba z cukinią, z którego... muszę przyznać... słynę w całej okolicy. Zaraz go przyniosę.

Mężczyzna odpowiada za nich oboje:

– To miłe, ale dziękujemy. Mamy alergię.

– Na cukinię?

– Na gluten. Nie jadamy pszenicy. – Kładzie dłoń na ramieniu żony i popycha ją w kierunku domu. – Hm... musimy

się rozpakować. Do zobaczenia. – Wchodzą do środka i zamykają drzwi.

Patrzę na furgonetkę, której jeszcze nawet nie otworzyli. Czy każda inna para nie chciałaby najpierw wnieść rzeczy do domu? Pierwsze, co bym zrobiła, to wypakowanie ekspresu do kawy i czajnika. Ale nie, Carrie i Matt Greenowie zostawili wszystko w furgonetce.

Przez całe popołudnie stoi zaparkowana na ulicy i zamknięta na głucho.

Dopiero po zmierzchu słyszę brzęk metalu i kiedy wyglądam na ulicę, widzę sylwetkę Matta stojącego z tyłu samochodu. Wchodzi do środka i chwilę później ciągnie po rampie wypakowany pudłami wózek. Dlaczego czekał do zmroku, żeby rozładować wóz? Czego nie chce pokazać sąsiadom? W furgonetce nie może być wiele ich rzeczy, bo kończy pracę w dziesięć minut. Zamyka pojazd i wraca do domu. Palą się w nim światła, ale nic nie widzę, bo zaciągnęli żaluzje.

Mieszkając czterdzieści lat na tej ulicy, miałam za sąsiadów alkoholików, cudzołożników i damskiego boksera. Może nawet dwóch. Nigdy jednak nie spotkałam tak nieprzystępnej pary jak Carrie i Matt Greenowie. Może byłam zbyt wścibska. Może mają problemy małżeńskie i unikają kontaktów z dociekliwą sąsiadką. Może to całkowicie moja wina, że nie przypadliśmy sobie do gustu.

Muszę dać im trochę czasu.

Ale następnego dnia i przez dwa kolejne przyglądam się domowi pod numerem 2533. Widzę, jak Larry Leopold wychodzi do pracy w szkole. Widzę, jak Jonas, bez koszuli,

kosi trawnik. Widzę, jak moja nemezis Agnes wydmuchuje dym z papierosa, z demonstracyjną dezaprobatą przechodząc dwa razy dziennie przed moim domem.

A Greenowie? Mijają mnie jak duchy. Udać mi się tylko dostrzec przez chwilę Matta za kierownicą czarnej toyoty, gdy wjeżdża do garażu. Podglądam, jak wiesza żaluzje w oknach na piętrze. Widzę, jak kurier dostarcza paczkę do ich domu, i dowiaduję się od niego, że została nadana z firmy BH Photo w Nowym Jorku (nigdy nie zaszkodzi wiedzieć, że kurier z FedExu dostarczający do nas przesyłki uwielbia chleb z cukinią). Nie widzę tylko, by ci ludzie gdziekolwiek pracowali. Prowadzą nieregularne życie, wchodzą i wychodzą o różnych porach, jakby byli już na emeryturze. Pytam o nich Leopoldów i Jonasa, ale nie wiedzą więcej niż ja. Greenowie są zagadką dla nas wszystkich.

Wyjaśniłam to wszystko przez telefon mojej córce Jane, która – wydawać by się mogło – powinna być równie ciekawa tej sprawy jak ja. Uważa jednak, że to nie przestępstwo, jeśli ktoś chce trzymać się z daleka od wścibskich sąsiadów. Jest dumna ze swojego instynktu policjantki, dumna z tego, że potrafi wyczuć, gdy coś jest nie w porządku, ale nie ma szacunku dla intuicji matki. Kiedy dzwonię do niej po raz trzeci w sprawie Greenów, traci w końcu cierpliwość.

– Zadzwoń do mnie, jak naprawdę coś się wydarzy – mówi opryskliwie.

Tydzień później znika szesnastoletnia Tricia Talley.

Rozdział trzeci

JANE

Obok różowego zamku unosiły się bąbelki powietrza, poruszając gąszczem plastikowych wodorostów, wśród których stała pełna kosztowności skrzynia piratów. Rusałka o kręconych rudych włosach leżała wsparta na łożu z muszli, w otoczeniu tłumu adorujących ją skorupiaków. Tylko jeden mieszkaniec tej podwodnej Krainy Czarów był żywy i w tym momencie wpatrywał się w detektyw Jane Rizzoli przez zaplamione krwią szkło.

– Dość wymyślne akwarium jak dla jednej złotej rybki – stwierdziła Rizzoli. – Chyba ma tu całą obsadę filmu *Mała syrenka*. I to wszystko dla rybki, którą za rok spuszcza z wodą w toalecie.

– Niekoniecznie. To welonka – zauważyła doktor Maura Isles. – Teoretycznie może żyć dziesięć, dwadzieścia lat. Rekordzistka przeżyła czterdzieści trzy.

Zaglądając przez szybę, Rizzoli widziała mgliście Maurę, która przykucnęła po drugiej stronie akwarium i badała zwłoki pięćdziesięciodwuletniej Sofii Suarez. Choć było sobotnie

przedpołudnie i dochodziła jedenasta, Maura wyglądała dystyngowanie elegancko, co Rizzoli nigdy się nie udawało. Nie chodziło tylko o idealnie dopasowane spodnie i żakiet czy przycięte równo czarne włosy. Nie, to było coś w Maurze. Ta kobieta o karminowych ustach, wykorzystująca swój intelekt jako tarczę, onieśmielała większość detektywów z wydziału bostońskiej policji. Jej intelekt był teraz całkowicie pochłonięty odczytywaniem języka śmierci z ran i plam krwi.

– Naprawdę? Złota rybka może przeżyć czterdzieści trzy lata? – nie mogła uwierzyć Rizzoli.

– Sprawdź to.

– Po co ci taka bezużyteczna informacja?

– Żadna informacja nie jest bezużyteczna. To klucz czekający na zamek, do którego będzie pasować.

– Dobrze, sprawdzę. Bo każda rybka, którą miałam, zdychała w ciągu roku.

– Bez komentarza.

Rizzoli wyprostowała się i rozejrzała ponownie po skromnym domu kobiety, która tam żyła i zginęła. Kim byłaś, Sofio Suarez? Próbowała to odgadnąć, odczytując wskazówki z książek na półkach, z pilotów ułożonych starannie na stoliku. Pedantyczna kobieta, która lubiła szydełkować, sądząc po czasopiśmie leżących na stole. Regał był wypełniony poradnikami dla pielęgniarek i romansami, kolekcją książek kobiety, która obcowała w pracy ze śmiercią, ale nadal chciała wierzyć w miłość. W kącie, na stoliku ozdobionym jasnymi plastikowymi kwiatami, stała w ramce fotografia uśmiechniętego mężczyzny o roziskrzonych oczach i z efektowną grzywą czarnych włosów. Mężczyzny,

którego tajemniczą obecność wyczuwało się nadal w każdym pomieszczeniu tego domu.

Nad „ołtarzykiem” ku czci zmarłego wisiało ślubne zdjęcie młodej Sofii i jej męża, Tony’ego. W dniu, kiedy się pobrali, ich twarze rozświetlała radość. Tego dnia musieli wierzyć, że czeka ich wiele szczęśliwych lat i że wspólnie się zestarzeją. Ale w zeszłym roku śmierć zabrała jej męża.

A minionej nocy zabójca przyszedł po żonę.

Rizzoli podeszła do frontowych drzwi, gdzie na podłodze leżał spryskany krwią zwinięty stetoskop.

Tutaj zaatakował.

Czy zabójca czekał już na nią, gdy weszła wieczorem do domu? Czy był zaskoczony, gdy usłyszał klucz w zamku, i spanikował, bo zdał sobie sprawę, że za chwilę go zdemaskuje?

Pierwszy cios jej nie zabija. Nadal żyje. Jest przytomna.

Podążyła za śladami krwi rozmazanymi na podłodze, znaczącymi rozpaczliwe próby ofiary, by uciec napastnikowi. Prowadziły od frontowych drzwi przez salon, obok bulgoczącego cicho akwarium.

I tu wszystko się kończy, pomyślała, spoglądając na ciało.

Sofia Suarez leżała na boku na posadzce, z podkurczonymi nogami, jak niemowlę w łonie matki. Miała na sobie niebieski uniform pielęgniarki z przypiętym szpitalnym identyfikatorem: *Pielęgniarka dyplomowana S. Suarez*. Jej zmiażdżoną czaszkę otaczała kałuża krwi, a zniekształcona twarz była nie do rozpoznania. Nie przypominała kobiety, która promieniała tak radośnie na ślubnej fotografii.

– Widzę tutaj, na tym odprysku, odcisk buta – odezwała się Maura. – A tam pozostał ślad podeszwy.

Rizzoli przykucnęła, by przyjrzeć się odciskom.

– Wygląda na męski but. Rozmiar czterdzieści jeden, czterdzieści dwa? – Odwróciła się do drzwi. – Jej stetoskop leży przy wejściu. Zostaje zaatakowana, gdy tylko wchodzi. Doczołguje się do tego miejsca. Zwija się w kłębek, może próbując się bronić, osłonić głowę. I wtedy on znów ją uderza.

– Znaleźliście broń?

– Nie. Czego powinniśmy szukać?

Maura uklękła obok ciała i dłonią w rękawiczce rozsunała ostrożnie włosy kobiety, żeby odsłonić skórę głowy.

– Te rany mają wyraźne kształty. Są okrągłe. Chyba trzeba szukać młotka z płaską główką.

– Nie znaleźliśmy żadnego. Ani ze śladami krwi, ani bez.

Z sypialni na tyłach domu wyłonił się Barry Frost, partner Rizzoli. Jego blada zwykle twarz miała niepokojący odcień szkarłatu, co było skutkiem wczorajszej wyprawy na plażę bez nakrycia głowy. Rizzoli skrzywiła się, gdy tylko na niego spojrzała.

– Nie znalazłem jej torebki ani telefonu komórkowego – oznajmił. – Ale znalazłem to. Było podłączone do gniazdka w sypialni. – Uniósł kabel ładowarki. – Chyba od laptopa Apple’a.

– Gdzie jest ten laptop? – spytała.

– Tu go nie ma.

– Jesteś pewien?

– Chcesz sama poszukać? – Jak na niego była to wyjątkowo sarkastyczna reakcja, ale może sama się o nią prosiła. Pewnie dokuczała mu ta opalenizna.

Obeszła już dom wcześniej i teraz przeszukiwała go

ponownie, szeleszcząc ochraniaczami na buty. Zajrzała do pokoju gościnnego, w którym łóżko było przykryte złożoną bielizną i pościelą. Potem poszła do łazienki, gdzie szafkę pod zlewem wypełniały kremy do twarzy i balsamy obiecujące wieczną młodość, której nigdy nie zapewniały. W apteczce były buteleczki z tabletkami na nadciśnienie i alergię, a także przepisywany na receptę hydrokodon, którego data ważności upłynęła przed sześcioma miesiącami. W łazience najwyraźniej niczego nie ruszono, co zmartwiło Rizzoli. Zazwyczaj apteczka jest jednym z pierwszych miejsc, które interesują włamywacza, a hydrokodon był łakomym kąskiem.

Rizzoli przeszła do głównej sypialni i zobaczyła na toalecie kolejne oprawione zdjęcie Sofii i jej męża w szczęśliwszych czasach. Gdy oboje żyli. Stali obok siebie na plaży; lata, które minęły od ślubu, dodały im zmarszczek i kilogramów. Mieli szersze talie i głębsze bruzdy w kącikach oczu. Otworzyła szafę i zobaczyła, że oprócz rzeczy Sofii wiszą tam nadal marynarki i spodnie Tony’ego. Jakie to musiało być bolesne, gdy otwierając ją co rano, widziała ubrania zmarłego męża. A może czuła ulgę, mogąc dotknąć rzeczy, które nosił, wdychać jego zapach?

Zamknęła drzwi szafy. Frost się nie mylił: jeśli Sofia miała laptop, nie było go w tym domu.

Poszła do kuchni. Na blacie leżała mąka kukurydziana i plastikowe torebki z suszonymi liśćmi kukurydzy. Poza tym w kuchni panował porządek, wszystko lśniło czystością. Sofia była pielęgniarką. Może miała we krwi dbałość o zmywanie i dezynfekowanie powierzchni. Rizzoli otworzyła szafkę i zobaczyła półki zastawione nieznanymi jej przyprawami i

sosami. Wyobraziła sobie, jak Sofia pcha wózek z zakupami między regałami w supermarkecie, planując posiłki, które dla siebie przyrządzi. Mieszkała sama i zapewne jadła też samotnie, a zważywszy na zapas przeróżnych przypraw, pewnie lubiła gotować. To był jeszcze jeden element zagadki, jaką stanowiła Sofia Suarez, kobieta, która uwielbiała gotowanie i szydełkowanie. Kobieta, która tak bardzo tęskniła za zmarłym mężem, że trzymała w szafie jego rzeczy, a w salonie ustawiła ołtarzyk ku jego czci. Kobieta, która kochała romantyczne powieści i swoją złotą rybkę. Kobieta, która mieszkała samotnie, ale z pewnością nie była sama, gdy zginęła. Ktoś stał nad nią z narzędziem zbrodni. Ktoś był świadkiem jej ostatniego tchnienia.

Rizzoli spojrzała na potłuczone szkło z rozbitej szyby w kuchennych drzwiach, przez które wszedł zabójca – sięgnął ręką do środka i odsunął rygiel. Na żwirowanym podwórku stał jeden pusty kubek i rosło kilka chwastów. Dostrzegła tam także odpryski szkła, ale żadnych śladów butów. Furtka miała prostą zasuwę, którą dało się łatwo otworzyć od zewnątrz. Nie było żadnych kamer ani systemu alarmowego. Sofia musiała czuć się bezpiecznie w tej okolicy.

Komórka Rizzoli rozbrzmiała przenikliwym dźwiękiem skrzypiec. Był to motyw z filmu *Psychoza*. Poczowała napięcie – nie bez powodu. Nie patrząc, kto dzwoni, wyciszyła telefon i weszła z powrotem do domu.

Pielęgniarka. Kto, do cholery, zabija pielęgniarkę?

– Nie odbierzesz? – spytała Maura, gdy jej przyjaciółka wróciła do jadalni.

– Nie.

– Ale dzwoni twoja matka.

– Właśnie dlatego nie odbiorę. – Rizzoli zobaczyła, że Maura unosi brwi. – Dzwoni już trzeci raz. Wiem, co mi powie: „Co z ciebie za policjantka? Nie obchodzi cię porwanie?”.

– Kogoś porwano?

– Nie. Zniknęła jakaś dziewczyna z sąsiedztwa. Nie pierwszy raz ucieka z domu.

– Jesteś pewna, że tylko o to chodzi?

– Rozmawiałam już z policją w Revere, zajmują się tym. Nie powinnam się wtrącać. – Rizzoli spojrzała ponownie na zwłoki. – Mam dość spraw na głowie.

– Detektyw Rizzoli?! – zawołał ktoś.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach policjanta.

– Tak?

– Przyjechała właśnie wnuczka sąsiadki. Jest gotowa tłumaczyć, jeśli zechce pani podejść do domu obok.

Rizzoli wyszła z Frostem na zewnątrz, gdzie słońce świeciło tak jasno, że przystanęła na chwilę i zmrużyła oczy, patrząc na przyglądających się im widzów. Na chodniku stało kilkanaścioro okolicznych mieszkańców, zwabionych widokiem zaparkowanych na ich ulicy radiowozów. Gdy podjechała furgonetka ekipy od badania miejsc zbrodni i stanęła na końcu szeregu, siwowłose kobiety pokręciły głowami i z przerażeniem zasłoniły dłońmi usta. Nie było tu atmosfery cyrkowego widowiska, z jaką Rizzoli tak często stykała się w Bostonie, gdzie miejsca zbrodni dostarczały ludziom rozrywki. Śmierć Sofii najwyraźniej poruszyła tych, którzy ją znali, więc przyglądali się w ponurym milczeniu, gdy dwoje detektywów szło do sąsiedniego domu.

Frontowe drzwi otworzyła młoda Azjatka w prążkowanych spodniach i odprasowanej białej bluzce. Był to dziwnie oficjalny strój jak na sobotni poranek.

– Nie doszła jeszcze do siebie, ale chce z panią porozmawiać – powiedziała.

– Jest pani jej wnuczką? – spytała Rizzoli.

– Tak. Lena Leong. To ja zawiadomiłam policję. Babcia zadzwoniła najpierw do mnie. Wpadła w panikę. Prosiła, żebym zatelefonowała na policję, bo słabo mówi po angielsku. Zjawiłabym się tu wcześniej, żeby tłumaczyć, ale musiałam spotkać się w mieście z klientem.

– W sobotę rano?

– Niektórzy z moich klientów nie mogą przyjść innego dnia. Jestem prawniczką imigracyjną i reprezentuję wielu pracowników restauracji. Mają wolne tylko w soboty rano. Trzeba robić to, co konieczne. – Lena zaprosiła ich gestem do środka. – Babcia jest w kuchni.

Rizzoli i Frost przeszli przez salon, gdzie stała przykryta plastikowym pokrowcem kanapa w szkocką kratę, jakby nieużywana. Stolik zdobiła misa z owocami wyrzeźbionymi ze szlachetnych kamieni, zielonymi jabłkami z jadeitu i winogronami z różowego kwarcu. Wiecznie lśniące produkty, które nigdy się nie zepsują.

– Ile lat ma pani babcia? – spytał Frost, gdy podążali za Leną do kuchni.

– Siedemdziesiąt dziewięć.

– I nie mówi w ogóle po angielsku?

– Och, rozumie o wiele więcej, niż chce się przyznać, ale wstydzi się mówić. – Młoda kobieta przystanęła w przedpokoju

i wskazała fotografię na ścianie. – To babcia, moi rodzice i ja, gdy miałam sześć lat. Rodzice mieszkają w Plymouth i ciągle proszą babcię, żeby się do nich przeprowadziła, ale odmawia. Mieszka w tym domu od czterdziestu pięciu lat i nie zamierza rezygnować z niezależności. – Wzruszyła ramionami. – Jest uparta. Cóż na to poradzić?

Zastali panią Leong w kuchni. Siedziała przy stole, podpierając rękami głowę, z siwymi włosami rozczochranymi jak puszek dmuchawca. Miała przed sobą filiżankę herbaty, z której unosił się zapach jaśminu.

– *Nai nai?* – powiedziała Lena.

Starsza pani podniosła powoli wzrok na gości. Miała oczy zaczerwienione od płaczu. Wskazała na krzesła i wszyscy usiedli. Lena zajęła miejsce obok babci.

– Najpierw, Leno, proszę nam powiedzieć, co usłyszała pani przez telefon – zaczął Frost, wyciągając notes.

– Babcia mówiła, że planowały z Sofią spotkać się dziś rano. Ale gdy poszła do domu obok i wcisnęła dzwonek, nikt nie otworzył. Drzwi nie były zamknięte, więc weszła do środka. Zobaczyła krew. A potem Sofię.

– O której to było?

Lena spytała babcię i ta odpowiedziała po mandaryńsku potokiem słów, które z pewnością znaczyły o wiele więcej niż tylko określenie godziny.

– Tuż przed ósmą rano – wyjaśniła Lena. – Zamierzały robić razem tamales. Zwykle robią to w styczniu, ale po niedawnej śmierci męża Sofia była jeszcze zbyt wstrząśnięta.

– Chodzi o pana Suareza? – spytała Rizzoli. – Jak umarł?

– To był udar krwotoczny. Operowali go, ale już się nie

obudził. Był trzy tygodnie w śpiączce, zanim zmarł. – Lena pokręciła głową. – Taki miły człowiek, taki dobry dla mojej babci... Właściwie dla wszystkich. Chodząc na spacer po okolicy, trzymali się z Sofią za rękę. Jak nowożeńcy.

Frost podniósł wzrok znad notesu, w którym coś zapisywał.

– Powiedziała pani, że pani babcia i Sofia zamierzały zrobić dziś rano tamales. Jak się porozumiewały?

Młoda kobieta uniosła brwi.

– Słucham?

– Pani babcia nie mówi po angielsku. A zakładam, że Sofia nie znała chińskiego.

– Nie musiały ze sobą rozmawiać, bo gotowanie to sposób komunikacji. Obserwowały i próbowały wszystkiego razem. Zawsze wymieniały się potrawami. Sofia robiła tamales, a moja babcia wysmienitą potrawkę z ogonów wołowych.

Rizzoli spojrzała na półkę obok kuchenki, na zestaw przypraw i sosów tak innych niż te, które miała Sofia. Przypomniała sobie mękę kukurydzianą w kuchni ofiary i wyobraziła sobie, jak te dwie kobiety siedzą obok siebie i zawijają farsz w liście kukurydzy, śmiejąc się i trajkocząc w dwóch różnych językach, ale świetnie się rozumiejąc.

Patrzyła, jak pani Leong ociera twarz, pozostawiając wilgotne smużki na policzku, i pomyślała o swojej matce, równie zażarcie niezależnej i żyjącej samotnie. Pomyślała również o wszystkich innych kobietach w mieście, które spędzają samotne noce w swoich domach. O kobietach, które zaalarmowałyby brzęk tłuczonego szkła i obce kroki.

– Czy w nocy pani babcia słyszała coś niezwykłego? – spytała. – Jakies głosy albo inne hałasy?

Zanim Lena zdążyła to przetłumaczyć, pani Leong już kręciła głową. Najwyraźniej zrozumiała pytanie i odpowiedziała kolejnym potokiem słów po mandaryńsku.

– Mówi, że niczego nie słyszała, ale chodzi spać o dziesiątej – wyjaśniła jej wnuczka. – Sofia miała wieczorny dyżur w szpitalu i zwykle wracała do domu między wpół do dwunastej a północą. O tej porze babcia już spała. – Przerwała, gdy starsza pani odezwała się ponownie. – Pyta, czy to właśnie wtedy się to zdarzyło, gdy tylko wróciła do domu.

– Tak sądzimy – potwierdziła Rizzoli.

– Czy to był napad rabunkowy? Bo w okolicy zdarzyło się kilka włamań.

– Kiedy? – zainteresował się Frost.

– Jedno parę miesięcy temu, w sąsiednim domu. Właściciele spali i niczego nie słyszeli. Wtedy tata zainstalował nowe rygle w drzwiach babci. Nie sądzę, żeby Sofia założyła je u siebie. – Lena spojrzała po kolei na oboje detektywów. – Czy to właśnie się zdarzyło? Ktoś próbował ją okraść, a ona go nakryła?

– Z jej domu zginęła część rzeczy – przyznała Rizzoli. – Torebka, telefon komórkowy. Być może także laptop. Proszę spytać babcię, czy Sofia go miała.

Znów nastąpiła szybka wymiana zdań po mandaryńsku.

– Tak – powiedziała Lena. – Babcia mówi, że Sofia używała laptopa w zeszłym tygodniu w kuchni.

– Czy może go opisać? Jakiego był koloru, jakiej marki?

– Och, wątpię, żeby znała markę.

– Jabłko – odezwała się pani Leong, wskazując na misę z owocami na blacie.

Frost i Rizzoli spojrzeli na siebie zaskoczeni. Czyżby właśnie odpowiedziała na ich pytanie?

Wyjął komórkę i pokazał logo na jej tylnej ścianie.

– Takie jabłko? Komputer marki Apple?

Starsza pani skinęła głową.

– Jabłko – powtórzyła.

Lena się roześmiała.

– Mówiłam, że rozumie więcej, niż chce przyznać.

– Czy może nam powiedzieć coś więcej o tym komputerze?

Jakiego był koloru? Stary czy nowy?

– Jamal – odparła babcia. – On pomóc jej kupić.

– Okej. – Frost zanotował to imię. – W którym sklepie pracuje Jamal?

Pani Leong pokręciła głową. Odwróciła się sfrustrowana i powiedziała coś do wnuczki.

– Och, ten Jamal – rzuciła Lena. – To chłopak z naszej ulicy, Jamal Bird. Pomaga wielu starszym paniom w sąsiedztwie. No wiecie... tym, co nie potrafią podłączyć telewizora. Musicie pomówić z nim o komputerze.

– Zrobimy to – zapewnił Frost, zamykając notes.

– Babcia mówi, że powinien pan zrobić okład z zimnej zielonej herbaty i nagietka, detektywie.

– Co?

– Na oparzenie słoneczne.

Starsza pani wskazała na mocno zaczerwienioną twarz Frosta.

– Poczuć się lepiej – oznajmiła i po raz pierwszy zdobyła się na uśmiech. Nic dziwnego, że właśnie dzięki Frostowi ta smutna kobieta w końcu się uśmiechnęła. Siwe staruszki

zawsze traktowały go jak dawno utraconego wnuczka.

– Jeszcze jedno – odezwała się Lena. – Babcia mówi, że musicie być ostrożni, rozmawiając z Jamalem.

– Dlaczego? – spytała Rizzoli.

– Bo jesteście z policji.

– Ma coś przeciwko policjantom?

– Nie on, tylko jego matka.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).